

Po upływie dziesięciu dni pił tylko czystą herbatę rano; nazajutrz już herbaty nie było; przy tem za dwa dni kończył się termin wynajmu pokoiku.

Ze strony Włodzimierza znosił bezustannie napaści, jako niedojda i mazgaj. Udawał się kilkakrotnie do redakcyj pism, do bióra poszukujących pracy, ale wszędzie zbywano go niczem. Głód nareszcie podsunął mu myśl. Udał się przed jedno z gimnazjum i do jednego z wychodzących uczniów zwrócił się z prośbą o lekcje: stosunków w Warszawie nie ma, pracować musi i chce, prosi o wskazanie miejsca zarobku. Wzięto odeń adres, obiecując odpowiedź.

Po walnej naradzie klasa ósma orzekła, że nie należy polecać nieznanego; tymczasem więc t. j. do chwili powzięcia o nim wiadomości należy mu doraźną pożyczką pomódz. Wybrany delegat miał zebraną kwotę wręczyć Antoniemu wraz z rezolucją kolegów. Zastał on Antoniego z Adamem śpiących na jednym łóżku, kiedy Włodzimierz spał na drugim. Drzwi były niezamknięte. Obudziwszy Antoniego, delegat uczniowski dał mu do zrozumienia w słowach ogólnych, że na teraz niczem innem, jak tylko pożyczką służyć może.

Za odpowiedź służył mu suchy śmiech Włodzimierza, który z szyderczym wzrokiem, utkwionym w Antoniego, rzekł:

— Zuch, zuch, niema co; a jaki skory do czynienia morałów innym, jak apostołował czystość sumienia, jak głosił: grosz każdy, co nie z pracy — to rozbój! a sam! jałmużnę od sztabaków wyżebrał! od sztabaków!

Śmiech Adama wtórował mu.

Antoni stał jak winowajca złapany na miejscu występku; bladł i siniał naprzemian; chwycił wreszcie czapkę i wyleciał z pokoju.

Zbiegłszy ze schodów biegł przez ulice, potrącając przechodniów, którzy z wyrzutem w ślad mu patrzyli, wzruszając ramionami; biegł wciąż dalej i dalej, na oślep, nie wiedząc, ani widząc nic; skronie mu tętniły, oko pałało, a głód gorączkę potęgował.

Na jednej z pustych ulic nadwiślańskich szedł naprzeciw niego wyrobnik jakiś dobrze podchmielony.

— Cóż? i wy, panie, jak widzę, ostatni grosik przepieć idziecie! ja się znam na tem! takiemu to ze ślepiów patrzy. Chodź, bracie, ja funduję!

Antoni stanął, bezmyślnym okiem rzucił na mówiącego, postąpił kilka kroków naprzód, lecz, jakby namyśliwszy się, zawrócił się i wszedł z chłopkiem do szynku.

* * *

W jednym z przedziałów klasy trzeciej pociągu biegnącego z Warszawy, wtulony w kąt wagonu, siedzi młodzieniec odziany w wytarte palto i studencką czapkę. Młodzieniec wyszedł, a kiedy powrócił i siadł na swe miejsce — uwaga towarzyszy podróży na nim spoczęła. Bełkotał coś pod nosem, klnąc i plując: był pijany...

— Do Warszawy, mruczał, do swoich... a mówił ojciec... swoi nie-swoi... żaden ręki nie podał, co ręki... życzliwego słowa... dziewczynie w knajpie rublami... życzliwego, serdecznego słowa...

I skłoniwszy głowę na ramię sąsiada, zasnął.

* * *

Antoni powrócił do domu rodziców za pieniądze, o których ojciec w liście się wyraził, że są „kosztem krwawych ofiar zebrane“ — powrócił i wstąpił zgodnie z wolą oca do „kancelaryi“ a dziś jest już pomocnikiem sekretarza. Ożenił się lubi przed obiadem wypić tak ze dwa kieliszki „goźkiej“, a nawet przid drzemką poobiednią, pod poduszkę, sobie też pozwala.

Po drzemce przymiata interesantów „sekretnych“.

A chciał...

W OGNISKU.

Obywatele uniwersyteccy stawili się już bez wyjątku prawie w Krakowie, gotowi z wznowionym zapałem ssać mleko wszelakiej mądrości u piersi życiodajnej i łaskawej macierzy — „Almae Matris“ naszej. Brakuje tylko kilku „indywiduów“, które w specjalnych zakładach, za pomocą odpowiedniej kuracji i diety, mają się wyleczyć z mikrobów anti-społecznych i anti-państwowych, zakażających ich duchowy organizm. Zamknięcie takich „parazytych owiec“ byłoby bardzo zbawienne dla otoczenia, które trądem swym zarażają, ale niestety środek to zupełnie bezskuteczny, gdyż całe miliardy tych chorobotwórczych mikrobów unoszą się w powietrzu, i gdzie tylko padną na grunt podatny, tj. na serce żywszym tętnem bijące i zwoje mózgowe głębiej zfałdowane, tam przyjmują się i rozmnażają z szaloną szybkością. Sposobu zaś na zamykanie i niszczenie samych mikrobów dotychczas nie wykryła ani „policya lekarska“ ani „medycyna sądowa“: żadne kwarantanny, szpitale, środki dezinfekcyjne nie tunie pomogą. Złego licha nie weźmie, nawet chociaż złych zamkną.

„Ognisko“ także powróciło z wakacyi (są impertynenci, którzy twierdzą, że wakacje te trochę zadługo trwały) i występuje przed ogółem kolegów z 3-cim, względnie 4-ym numerem, na złożość wszystkim swoim najserdeczniejszym, na przekór sceptykom wszelkim, którzy wyrażali wątpliwości co do jego „racyi bytu a z w ł a s z c z a warunków trwałości“ i uważali je za efemerydę przeznaczoną na to, żeby po kilku miesiącach zginąć na fali zapomnienia. Długa pauza wakacyjna miała ten skutek, że ku ogólnemu zdumieniu interesującej się losami naszymi publiczności, „Ognisko“ przez całe trzy miesiące ani razu nie zostało skonfiskowane! Mimo to, opiekunowie nasi nie przestali otaczać nas ojcowską pieczołowitością: nie konfiskowano numerów naszego pisma (prawdopodobnie dlatego, że żaden numer przez ten czas nie wyszedł) ale za to w lokalu redakcyj urządzono rewizję. Z próby tej „Ognisko“ wyszło z prawdziwym tryumfem a „błagonadziejność“ jego w tylu przejściach już doświadczona, zajaśniała nowym blaskiem jak złoto w ogniu oszyszczone. Znalaziono wprawdzie podczas rewizyi 18 kawałków, które na pierwszy rzut oka wydały się podejrzanymi ale po dokładniejszym zbadaniu za pomocą odpowiednich odczynników chemicznych okazały się tak niewinnymi i lojalnymi, że mogłyby figurować w archiwum „Czasu“ lub „Lembergerki“, że możnaby je śmiało drukować złotym drukiem na czarnym papierze.

Do tych kolegów, którzy wakacyi nie spędzili na miejskim bruku ale na wsi, ośmielamy się wystosować jedno pytanie: z czem powracają do Krakowa? Przypuszczamy, że z wzmocnionem zdrowiem, z świeżym zapasem energii mięśniowej i nerwowej, z obfitym planem przyjemnych wrażeń i wspomnień, ale nie oto nam chodzi.